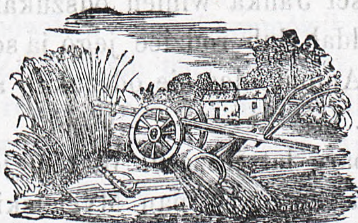
Tom III. 1. Marca 1871. Nr. 7.

Rok dwunasty.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Uczciwość nagrodzona.

(Dokończenie.)

Minęło lat kilka. Pan Antoni Stanton osiadł przy ojcu i począł na piękne gospodarować. Już teraz nie nazywał się on obcem mianem Stanton, ale wziął napowrót ojca nazwisko, i nazywał się odtąd Antoni Mycielski. Stary pan aż odżył przy synu. Dawny smutek opuścił go zupełnie. Teraz już rad starowina między ludzi się wymyka, nieraz wesoło rozpowiada dawne dzieje, słowem ani śladu dawnej zadumy i smutku. Bo też nietylko że syna odszukał, i w nim na starość podporę i pociechę znalazł, ale nadto syn ten był zupełnie godnym swego ojca Zacny, pracowity, serce poczciwe i wylane dla każdego. Choć między obcymi się wychował, mimo to odżyła w nim wrodzona nasza krew polska. Ukochał ludek nasz, jakby wiecznie z nim razem żył. Każdemu pomaga, radzi, ratuje, — a tak do serca przemówić potrafi, że aż miło człowiekowi. Najwięcej ukochał syna Antoniego Skiby. Nie dość że dał Janka uczyć, ale i nie zapomina o nim nigdy. A Janek uczy się w Krakowie, uczy bardzo pilnie. Do ojca listy pisuje często, a co święta do domu przyjeżdża, aby odwiedzić swych rodziców. I o rodzicach Janka niezapomina pan Antoni. To

bywa krówkę ładną podaruje, to dziatkom ich, których tymczasem Bóg przymnożył, ładne daje podarunki. Nigdy nie zapomina o tem że uczciwości Janka winien odszukanie ojca, bo gdyby Janek torby nie oddał, lub rodzice jego ją sobie przywłaszczyli, nigdy byłby pan Antoni ojca nie odszukał, a Skibowie rzetelnej korzyści nie mieli.

Trwało tak pare lat jeszcze. W tem jednego dnia smutna wieść się rozniesła, że stary pan Mycielski umarł. Oj smutno to się zrobiło poczciwym wieśniakom. Z wszystkich wiosek z okolicy zeszły się gromady, by ostatnią usługę oddać dobremu panu. Każdy smutny i ze łzami szedł za trumną starego pana a najbardziej płakał pan Antoni. Gdy stanęli na smentarzyku wiejskim, i włościanie niosący trumnę nad grobem ją złożyli, stary ksiądz pleban przemówił w krótkich, dobitnych słowach do zgromadzonych. — Płaczcie za nieboszczykiem, tak kończył ksiądz pleban, bo takich nie wielu na świecie. On nie panem waszym, nie dobrodziejem, ale ojcem był wam wszystkim. Za duszę jego zmówcie nabożnie Anioł pański, i rzućcie po grudce naszej świętej ziemi na trumnę nieboszczyka, — tę ostatnią zróbcie mu przysługę, jako podziękę za miłość jego dla was.

— „Oj niema już dobrodzieja naszego jękneła gromada włościan, — niema ojca naszego!“

Poklękli wszyscy i rzewnie zaśpiewali Anioł-pański. Ksiądz pokropił trumnę, a zgromadzeni rzucali po garstce ziemi w świeży grób. Niebawem grób się zapełnił, a gdy ostatni ziemi grudkę dorzucił, już spora była mogiłka. Tak uczcili poczciwi włościanie pamięć zacnego pana. A taka mogiłka usypana ręką włościan, to więcej warta niż najwspanialsze murowane groby.

Po pogrzebie posmutniał pan Antoni. Przez parę dni do nikogo słowa nie przemówił, w końcu zwołał gromadę, i pożegnał się z nimi, mówiąc, że na długi czas i daleko wyjeżdza. Do zarządu wioski przyjął ekonoma z okolicy, który właśnie był bez miejsca. Tego samego dnia jeszcze wyjechał pan Antoni. Wstąpił do Krakowa, i odwiedził Janka syna Skiby. Janek przez ten czas uczył się na lekarza; obecnie pokończył nauki i zaczynał leczyć ludzi. A dobry lekarz był z niego.

Rzecz swoją dobrze rozumiał, każdego sumiennie wypytał, co mu brakuje i potem dopiero zapisywał leki. Otóż pan Antoni odwiedził go, pomówił z nim i namówił, aby z nim razem w świat pojechał. Zabrali się tedy obydwaj i pojechali daleko. Podróżowali przez różne kraje, tu mieszkali miesiąc, tu dwa, tu pół roku, ot zwyczajnie jak się panu Antoniemu zachciało. Chciał pan Antoni koniecznie ze smutku swojego po ojcu rozerwać się. Ale ten smutek nie ustawał, i coraz go dalej pędził. W końcu pojechali aż do Ameryki, i tam przez kilka lat przebywali.

Tymczasem smutno szło życie poczciwym włościanom w Konopkach. Zostawiony zarządca był to człowiek najgorszy. Jemu tylko grosz miły się uśmiechał, reszta niczem dla niego. Ani do kościoła nie chodzi, ani z ludźmi nie gada, ot zwyczajnie jakiś chciwiec i wydrzygrosz. Nikomu słowa dobrego nie powie, z każdego duszę by rad wydrzeć. Zdawało mu się, że gdy pana Antoniego nie ma, to już on panem całej wioski. Las wyrębał i sprzedał, Bóg wie na jaki obrachunek. Było w Konopkach wspólne wielkie pastwisko, gdzie i dworskie i gminne bydło się pasało, i nikomu do głowy nie przyszło o to się swarzyć. Nowy zarządca gminne bydło zakazał pędzić na to pastwisko. Gmina się oburzyła i chciała proces poczynać; ledwie że stary wójt ich powstrzymał. Przyjedzie nasz pan, powiedział wójt, to już on nam zrobi sprawiedliwość. Gmina odstąpiła od procesu, bo wierzyła słowom swego wójta, jakby księdzu na spowiedzi. Gdzie jakie bydlę wdarło się w szkodę, zarządca kazał przytrzymać i nie oddawać. Słowem okrutny to był człowiek. To też i nie dziw, że włościanie posmutnieli, i ubożeć poczynali. A najgorzej wyszli poczciwi Skibowie. Pan Antoni nim wyjechał, puścił im kilka morgów w swojej wiosce na bezpłatną dzierżawę. Poczęli to uprawiać, zasiali, ale nie dla siebie, niestety! Jak tylko zboże okwitło, zaraz zajął zarządca te pola, i rzekł, że one są dworskie, że nigdy do Skibów nie należały. Co więcej darowane przez pana Antoniego bydło, kazał także zająć i odebrać. Biedni Skibowie nie mieli nic na piśmie, to też i upominać się nie śmieli przez

sądy. Do tego przyszły u nich choroby dzieci, w końcu pomorek na bydło, tak, że całkiem zubożeli.

Wprawdzie Janek pamiętał o rodzicach i często gęsto grosz im posyłał. Ale co się działo. Oto posyłał te pieniądze i listy zawsze razem z listami pana Antoniego na ręce zarządcy w Konopkach. Ten zarządca wszystko przechwytywał, i starym Skibom ani pieniędzy ani listów nie oddawał. Skibowie smutnieli, bo nie wiedzieli co się z synem dzieje, myśleli, że syn o nich już całkiem zapomniał.

Tak minęło lat kilka. Pan Antoni ochłonął trochę ze smutku swego, i postanowił do swoich powrócić. Do tego go szczególniej jedna rzecz nakłoniła. Oto dnia jednego dostał list, a w tym było pismo gromady z Konopek, gdzie mu donoszą o bardzo niedobrem postępowaniu zarządcy. Przez cały czas zarządca jak najpiękniejsze listy panu Antoniemu pisywał, nieraz trochę pieniędzy posłał, a zawsze narzekał na liche urodzaje i ogromne wydatki. Zaś miejsce pobytu pana Antoniego starannie ukrywał przed wszystkimi. Dopiero przypadkiem dowiedziała się gromada, i posłała zaraz pisanie ze skargą do pana Antoniego. Natychmiast zabrał się Antoni, i postanowił do kraju wrócić. Jakoż niebawem wrócił wraz z synem Skiby, z lekarzem Jankiem. Ale jakie było ich zdziwienie; gdy się na miejscu o wszystkiem dowiedzieli. Oto, nie dość, że zarządca włościan uciskał, nadto długi na wioskę pozaciągał, tak że wioska miała być w drodze sądowej zlicytowaną, to jest sprzedaną. Natychmiast popłacił pan Antoni te długi, wioskę oczyścił, a zarządcę wygnał na wszystkie wiatry. Podobnoś on potem za inne złe sprawki aż do więzienia się dostał.

Zaraz po przybyciu do stron rodzinnych udał się lekarz Janek do swej wioski, aby odwiedził rodziców. Przychodzi, chatka zamknięta; puka, daremnie, nikt nie otwiera. Dopiero chłopczyna jakiś powiedział mu że Skibowie chatę już sprzedali z biedy, i komornem gdzieindziej mieszkają.

Poleciał Janek tam, gdzie mu chłopczyna wskazał. Wszedł do izby, a tu na łożu leży matka jego śmiertelnie słaba, — koło niej siedzi ojczysko zadumany, a w około dziatwa się tnli obdarta i głodna.

— Mój Boże, jęknął Janek, — cóż to się stało, — ojcze mój, matko moja, to ja, wasz Janek, powróciłem do was.

— To Janek, mój kochany Janek, jęknęła Skibowa na łożu, o przecież przed śmiercią cię jesze oglądam. Janku, moje życie, moje kochanie!

Syn przypadł do łoża matki, i całuje jej wyschłe ręce. Łzy mu się puściły z ócz, i słowa mówić nie może.

— Janku, tyś o nas zapomniał! szepnął stary Skiba, tyś zapomniał o rodzicach twych...

— Nie ojcze, nigdy.... wszak często do was pisałem,... jam zawsze o was pamiętał.

Tu dopiero pokazało się, że listy zarządca przechwytywał. Skiba stary uściskał syna, i radował się mocno. Poczęli rozmawiać, i pokazało się wszystko jasno. Janek zrozumiał skąd rodzice na taką biedę zeszli. Jako lekarz wypytał o słabość matki, i pytał, czy mieli doktora.

— A był doktor z Krakowa, ale nie obiecuje jej życia, wyrzekł smutny Skiba.

— W bożej mocy wszystko, rzekł Janek, — może mnie się uda matkę uratować. Widocznie Bóg mię zesłał w najcięższej chwili. Niech tylko matka pozdrowieje, a wszystko lepiej będzie.

Natychmiast wziął się do leczenia. Zapisał leki, i posłał po nie do Krakowa. Za dwa dni gorączka ustąpiła, i chora miała się lepiej. Dawną chatę odkupił Janek, i kazał rodzicom się przeprowadzić. Skibowa aż odżyła gdy ją do rodzinnej przynieśli chaty. Za parę tygodni mogła wstać i chodzić po chacie, i przed chatę wyjść na miłe boże słonko popatrzeć Toż to była radość dla Janka, że matkę od śmierci wyratował! A wszystko to tylko jego poczciwość; on oddał znalezioną torbę, — za to wyuczył się na lekarza, a teraz własną matkę do życia przywołał. Tak Bóg wielki nagradza poczciwe serca.

Dostatek i wesołość wróciły pod strzechę Skibów. Córkę jedną wydali wkrótce za mąż. Chłopaków dał Janek na naukę do Krakowa, bo czuł dobrze, że tylko nauka stanowi szczęście człowieka, jak to sam na sobie doświadczył.

Jeden z nich potem, chociaż szkoły pokończył, osiadł w rodzinnej wiosce, i nie wstydzi się płotnianki, ale w pocie

czoła rodzinną rolę orze, a matka ziemia stokrotnie mu wynagradza. Drugi został księdzem, i we własnej wiosce jest proboszczem. Trzeci, co miał do muzyki usposobienie, jest organistą, i bratu proboszczowi co dzień do mszy św. przygrywa.

A Janek jest przybocznym lekarzem przy panu Antonim w Konopkach. Od chatki do chatki chodzi i ludzi leczy, a jużto najczęściej bezpłatnie. Nieraz w dalekie strony go wołają, bo już to doktor wyśmienity. W całej okolicy nikt do baby się nie uda, ani do żyda cyrulika, każdy spieszy do doktora Janka, bo ten dobrze leczy i uczciwie, nie żadnemi czarami ani szalbierstwem. Pan Antoni ożenił się, i jak dawniej żyje wesoły i szczęśliwy. Bóg jemu szczęści i włościanom jego wioski. Las i pastwisko nietylko powrócił ale darował na wieki włościanom. Miłość i zgoda panują wszędzie. Za zacność i poczciwość Bóg tych ludzi nawiedzał, w końcu szczęściem wynagrodził.

Stach ze Lwowa.

Wioska moja.

Ja tak kocham wioskę moją...
W niej się urodziłem,
W niej najpierwszą młodość swoją
Mile przepędziłem.

Moja wioska mi tak miła
Równie jak i chata,
Co swą strzechą osłoniła
Me dziecinne lata.

W mojej wiosce tak mi miło
Odpoczywać w chatce,
Bo w niej młodość się spędziło
Przy ojcu i matce. —

Wszystko dla mnie uroczyste
Kościółek z dzwonami,
I te lipy rozłożyste
Przed memi oknami.

I ten domek—gdziem się uczył
Najpierw chwalić Boga,
Kochać bliźnich się nauczył,
Ciebie wiosko droga!

Za nic w świecie nie mieniałbym
Chatki — wioski mojej —
W nich też nawet umrzeć chciałbym
W chatce, w wiosce swojej.

J. W.

Słoń.

Pisaliśmy Wam dotąd już o kilku dzikich zwierzętach, które w naszym kraju nie mieszkają, pisaliśmy jednak tylko o zupełnie dzikich, które są postrachem dla innych zwierząt mniejszych i dla ludzi. Teraz zaś chcę Wam donieść wprawdzie także o jednem z dzikich zwierząt, lecz z takich, które się łatwo dają ułaskawić i służą potem człowiekowi z wielkim pożytkiem. Otóż takiem zwierzęciem jest słoń.

Żyje on dziko w lasach i trawą porosłych pustyniach Azyi i Afryki zwykle w większej zgrai, która się nigdy nierozprósza. Wielkość jego dochodzi do 15 stóp wysokości a rozumie się, do znacznie większej długości; w ogóle wygląda tak, jak dobrze sianem nałożony wóz. Jest on na wejrzenie bardzo niezgrabny, cielsko ma grube i tęgie, a nogi, to już istne słupy. Głowa także się nie odrodziła od całego ciała, jest sobie dość potężna i nosi na sobie wielkie zwisłe uszyska, długi ryjek czyli trąbę, którą słoń jakby ręką władą i dwa ogromne, sterczące kły w pysku, które czasami cały centnar ważą. Cała postać jego jest pokryta grubą, nieprzenikliwą skórą, na której się ołowiane kule płaszczą; dlategoteż po większej części żelaznemi lub miedzianemi kulami do słonia strzelają.

Aleź z wielu niebezpieczeństwami takie polowanie połączone! Bo to trudno tak wymierzyć, aby zaraz ubić słonia, a jak go się tylko draśnie lub skaleczy, — to nie daj Boże! Wtedy to słoń rozjuszony nie lezie pomału, ale puszcza się na tego, co go skaleczył, jakby najszybszy koń, a trąbą tą swoją wymachiwa, że aż strach się popatrzeć. Bo też ta trąba nie tylko na to słoniowi służy, aby nią sobie liście z drzew i owoce urywał albo nią inną strawę sobie do paszczy podawał, ale służy mu także za broń doskonałą. Posiada on w niej bowiem taką siłę, że drzewo z korzeniem wyrwie, a człowieka jak złapie, to się pewnie przejedzie trochę po powietrzu a potem sobie na ziemi wszystkie kości połamie. Dlategoteż na słonie z wielkiemi ostrożnościami polują, a polują na to, aby mu odebrać nic więcej, jak tylko jego białe zęby, z których potem tokarze

rozmaite rzeczy wyrabiają, jakoto: guziki, gałki do lasek, kule bilardowe, coście pewnie je w traktyerni w miasteczku widzieli, grzebienie i t. d.

Ale cóż z tego? Nie szkoda to zwierzęcia, które zresztą niezaczepione jest zupełnie nieszkodliwe, aby je tylko dla zębów


Słoń.

zabijać? — Otóż więc, z tej przyczyny nie polują jedynie na słonia, ale go też i żywcem łapią. Robią zagrodę bardzo mocną, aby jej słoń nie mógł przerwać i zostawiają do niej tylko jedną drogę, kt'rąby słoń mógł się do niej dostać, wykopują w niej dół na wodę i wpuszczają tam kilka już ułaskawionych słoni. Jak już wybadają, że słonie są w okolicy, zbiera się mnóstwo ludzi z różnemi narzędziami, któremi można hałasować i nuż po lesie robić wrzask i rwetes. Zupełnie się to

równa naszej obławie. Otóż przestraszone słonie zaczynają uciekać, ale cóż, kiedy nigdzie uciec nie można, bo wszędzie wrzaski i hałasy. Wreszcie widzą zagrodę, w której ich braciszki najspokniej się pasą. Anuż więc do zagrody! I tak zdarza się czasem, ze sto albo i więcej słoni do tej klatki wlezie. Wtedy to włażą ludzie do tej wielkiej zagrody i pędzą słonie pojedyńczo do mniejszych zagród, a jak który słoń niechętny, albo się nawet rozłości, to zaraz ułaskawiony słoń go porządnie swoją trąbą wychłosta. Tak więc dostają się pojedyńczo do mniejszych zagród, gdzie im powrozy na szyję zarzucają i do mocno wbitych palów przywiązują. Wtedy już wygrana, bo słoń jak złapany, przestaje bardzo prędko być dzikim i daje się bardzo prędko ułaskawić. A jak już ułaskawiony, to co to za poczciwe stworzenie?! Już się nie złości, ani fuka, ale daje robić z sobą, co kto chce. I tak zaprzągają go do pługa i lezie biedaczysko w jarzmie jak wół i cały dzień orze; wpakują nań kilkadziesiąt pak rozmaitych towarów a on jeszcze uważa, aby jaka paka nie spadła i poprawia ją sobie trąbą na grzbiecie; dalej stawiają mu na grzbiecie altany takie wielkie, jak małe chaty i siadają sobie tam całkiem wygodnie, a przewodnik robi sobie miejsce na karku i popędza go, gdzie mu droga. I w wojnie słoni używają, wystawiają mu na grzbiecie drewniane wieżyczki i wsadzają tam żołnierzy, którzy z góry na nieprzyjaciela pociski i kamienie rzucają. — Teraz jak już armatami strzelają, to wyuczyli nawet tak słonie, że biorą lunty palące się w trąbę i zapalają proch w działach. I nie czyni słoń tego wszystkiego bezwiednie, o słoń posiada i zmysł pewny. Przewodnik jest mu przyjacielem, i temu to przyjacielowi umie być słoń także wdzięczny, on go obrania od nieprzyjaciela, on, że tak powiem, pieści się z nim. Ot, już to, że to zwierzę uważa, aby paki mu na grzbiet wsadzone nie pospadały, świadczy, że słoń nie taki głupi, jakby o zwierzęciu sądzić można. Rzeczywiście słoń nietylko umie być użytecznym, jak n. p. wół, osioł i t. d. ale też i przyjemność człowiekowi sprawić może. Otóż n. p. do nas sprowadzają z tych dalekich krajów, jakiemi są Azya i Afryka, także słonie, bądźto do takich ogrodów, w których rozmaite zwierzęta żywią, bądźto, by

jechać z niemi i pokazywać je za pieniądze. Otóż ogrody takie tylko po wielkich miastach miewają, a u nas takich zwierzyńców, jak właśnie te ogrody nazywają, nie ma, lecz czasami przyjeżdżają i do nas cudzoziemcy z różnemi zwierzętami, jakoto: z małpami, niedźwiedziami, papugami, wielbłądami i wtedy to możemy się czasami i słoniowi przypatrzyć. Ubierają go zwykle w jakieś czerwone sukno, a małpa na szerokim jego grzbiecie koziołka wywraca. I ten dziki zwierz, który człowieka jednem uderzeniem swej trąby na drugi świat wyprawić może, stoi spokojnie i daje się od głupiej małpy za uszy szczypać! Ha — jest swemu panu wdzięczny za to co mu daje i pozwala sobie wszystko zrobić. Oj! gdyby się ludzie od tego zwierzęcia wdzięczności uczyli! Ale niestety! człowiek się nie rodzi wprawdzie dzikim, ani w lesie, ani na puszczy, a oszukuje przyjaciół swoich i odwdzięcza się złymi czynami swoim dobrodziejom. No — lecz dam pokój temu, — nie wszyscy ludzie są źli na tym świecie.

Ot teraz kiedy już mamy słonia niejako przed sobą, chcę Wam także coś niecoś opowiedzieć, jak słoń potrafi być zabawny. — W ułaskawionym stanie przyzwyczaja się on do najrozmaitszej strawy, nie zapomni wprawdzie trawy, którą to niegdyś na wolności z smakiem pożerał, ale nie ma też nic przeciw temu, gdy mu się da bułek, jabłek, chleba i t. d. a nawet i flachą wódki albo wina nie pogardzi; a jak arak pije, to się ani nie zakrztusi! Ale mniejsza o to, że je bułki, cukier i pije wino i arak, gdy to i inne zwierzę potrafi, nietylko człowiek, co to tak cukry i wino lubi; — gdybyście widzieli, jak on sam sobie korek z flaszki wyciągnie! — Oto na swoim ryjku ma wyróst, podobny do palca i tym to porwie za korek, a ryłkiem samym za flaszkę i w mgnieniu oka ciecze mu już wódka w gardło. Ale nie dobrze z nim żartować! Bo też jak mu raz chłopiec jakiś zamiast jabłka rzucił kamyk, słoń nie wiele się namyślał, chwycił trąbą za kamyk i cisnął nim na chłopca tak, że biedaczysko z dobrym siniakiem zmykł do domu. Razu pewnego także dano mu w butelce wodę i słoń ani się nie ruszył, wciągnął w trąbę daną mu wodę, poszedł do kadzi, nabrał jeszcze więcej i nuż pokornie do zagrody. Wszyscy

zaczęli się naśmiewać już z słonia, wtem słoń trąbę wyciąga i nuż wszystkich wodą opryskiwać! Oto im był żart, że mokro potem do domu sunąć musieli. — Podobnie zrobił słoń jednemu krawcowi, który mu zawsze jeść dawał, a raz — Bóg wie, co mu się stało — igłą go w trąbę ukłuł. Słoń poszedł sobie dalej niby zasmucony, zakradł się jednak do kadzi i tak spluskał naszego krawca, że kąpieli już pewno nie potrzebował.

Ale nie zawsze słoń ma taki dobry humor, nie zawsze on lubi żarty i figle stroić. Otóż raz go przewodnik zanadto poturbował, słoń wytrzymał długo to bicie, ale, gdy przewodnik nie przestawał, i słoniowi cierpliwości brakło — uniósł się gniewem i — biedaczysko przewodnik przejechał się na trąbie słonia — padł o ziemię i już więcej nie wstał. Ale i słoniowi zrobiło się ckliwo — stanął i jakby się zadumał, jakby chciał zapłakać i postąpił do swego martwego przewodnika, zaczął go ruszać, jakby chciał mu powiedzieć. „Wstań“ ale nadaremno! Zasmucił się słonisko, zadumał, wreszcie wziął dziecię zabitego przewodnika trąbą i wsadził je sobie na kark, jakby je naznaczył na swego przyszłego przewodnika. I nie rzadko to słoń okazał swą miłość ku dzieciom. — Raz n. p. rozjuszony wybiegł z za swojego zagrodzenia i biegł bez opamiętania przez ulice miasta, a wszyscy z przestrachem uchodzili do domu. Wtem zobaczył nagle dziecię, które się na ulicy bawiło. Opamiętał się, podjął dziecię trąbą, posadził je na ławkę przed domem, by go nie roztratować i gniew go zupełnie opuścił. I jak się zdaje, namyślił się, zwrócił krok i spokojnie, jakby zawstydzony wrócił do swojej zagrody.

Takie to słonie były także w ogrodzie publicznym w Paryżu. I przyszły Prusaki, opasały Paryż i nie przepuszczały żywności do miasta, a głód okropny zaczął panować. Zjedzono już wszystkie woły, krowy, konie, nawet psy, koty i szczury, a słonie smutno chodziły po ogrodzie, bo je zaniedbano. Lecz głód i im końca dojechał; zabili je bowiem, chociaż ich mięso wiele niesmaczne, i zjedzono. — Tak to i biedne zwierzęta podzieliły los wielu ludzi — dlaczego? Bo Prusakowi zachciało

się mordować, palic i głodzić. Lecz jest Bóg, i zasłużoną karę za niewinną krew ludzką Prusakowi opatrzność wymierzy.

Kartaczownice.

Powiadają ludzie, że ten wiek, w którym żyjemy, jest wiekiem postępu w oświecie; powiadają, że ludzi coraz więcej się kształcą, co raz więcej umieją i przez to co raz lepszymi się stają. Ot i trochę jest w tem prawdy; — ludzie się nauczyli wiele pożytecznych i dobrych rzeczy, jeżdżą żelaznemi kolejami, telegrafują sobie, jakto Wam w 1. już numerze bardzo opowiedziane, wynaleźli różne maszyny — ale musimy przyznać, że nie bardzo lepszeją. Nauki bowiem rozmaicie używają; — bo to też nietylko mamy teraz żelazne koleje, telegrafy, parowe pługi i młocarnie, ot mamy także nowe karabiny, nowe bagnety i nowe armaty. — I znowu mówią ludzie że się wiele, bardzo wiele nauczyli, bo aż takie wynaleźli karabiny, co, nim do sześćdziesięciu policzysz, pietnastu ludzi ubiją. Oj, tożto ładny wynalazek! pukniesz w jednej krótkiej chwili pietnaście razy z rurki od karabina i jużeś powalił pietnastu bliźnich, nie wiedzieć, za co. — Ale nietylko takie piękne karabiny ludzie sobie wynaleźli — mamy przecież i armaty rozmaitego gatunku. Kulka jedna z tego działa pietnastu, a z tamtego sto ubije. — I mówią znowu i piszą i krzyczą: „Jacy my mądrzy, a jacy my dobrzy!“ Oj zdaje mi się że ta ich mądrość i ta ich dobroć od tego panicza pochodzi, co to w raju siedział na drzewie i Ewę skusił do grzechu. On bo także jej obiecywał mądrość wielką. Oj widać, widać, że się ludziska dużo takich rajskich jabłek Ewy najedli, bo tacy mądrzy, a tacy dobrzy, że aż strach powiedzieć.

I teraz, jakto już wiecie, zaczęły się bić Prusaki z Francuzami, nabili się dużo ludzi niewinnych, pokaleczyli jeszcze więcej i zadowoleni z tego. A długo, długo przed wojną przemyśliwali nad tem, jakby to najwięcej z braci swoich wyprawić na drugi świat. I zdaje się, że wtedy szatan im naniósł swoich rajskich jabłuszek z kilkadziesiąt korcy, bo

wynaleźli takie piekielne narzędzia, żeby potrafili całe kraje z ludzi obrać.

Już przed wojną z r. 1866, co to ją wiodły Prusaki z Austryakami, powynachodziły sobie Prusaki karabiny, iglicówkami zwane, które na minutę po pietnastu ludzi biją, i — biły, biły Prusaki, narobiły swojemi kulami mnóstwo trupów, tysiące kalek i tysiące przez to wdów i sierot. Ale nie dosyć myślą sobie: „Wybiliśmy jednego, ale co z drugim zrobić? Może nas wybije.“ I nuż znowu do karabinów i do bagnetów i do armat. Poprawili sobie karabinki, powyostrzali bagnety i zabrali się do armat. Nuż znowu klepać, odlewać mosiądz i żelazo, piłować i wyklepali sobie działa, co na całą milę rzucają kule. A cóż dopiero o kulach gadać? — Nie było im dosyć żelaznemi bez otworów strzelać, trzeba sobie było wynaleźć takie, coby pękały, ludzi zabijały i kaleczyły. I znowu im się udało — wynaleźli sobie granaty, co to jak pęknie, zaraz z trzydzieści ludzi na ziemię powali, bomby i puszki z kulami, co to je kartaczami nazywają. — I inni nie byli leniwi — „szukasz ty na mnie kamienia, ja sobie na ciebie większego poszukam“. I zaczęli szukać, szukać i wynaleźli takie armatki, co to je kartaczownicami nazywają, a o których chcę Wam trochę napisać. — Jestto pęk samych rurek karabinowych — jest tam ich z trzydzieści do czterdziestu, a wszystkie ze sobą mocno żelazem spojone. Ciężko by to było dla jednego człowieka nosić a koni szkoda używać, bo dla konia taka miotła z samych lufek znowu za lekka. Wsadzili też dlatego ten przyrząd na dwa kółka i jeden człowiek taką kartaczownicę uciągnie. Ale nie myślcie, że to tak trzeba nabijać te lufki jak strzelbę i jednę po drugiej wystrzeliwać. Gdzietam! wynaleźli sobie taki przyrząd którym wszystkie te lufki naraz nabijają i znowu przyrząd, którym wszystkie rurki wystrzeliwają naraz, a jeden człowiek robi to sobie całkiem wygodnie. A biją te kartaczownice ogromnie daleko i ogromnie silnie, tak, że jedna taka kartaczownica całe szeregi żołnierzy trupem kładzie.

Mieli Francuzi takich bawidełek bardzo dużo, ale jak ich dowódzcy zaczęli jeden po drugim zdradzać i sprzedawać, to Prusaki wszystko zabrały. Oj wielką szkodę narobiły Prusaki

biednym Francuzom, nabrały się pieniędzy, nabiły ludzi, napaliły się wsi i miast i zabrały aż siedem tysięcy rozmaitych armat. A że nie mogły wszystkich zabrać ze sobą, to sobie wynalazły taki proch co się dynamit nazywa i taką maść, że jak nabije armatę, to ją rozsadzi na same drobne kawałki. I tak, jak piszą, chcą zrobić z armatami, co w Paryżu je zabrali. Ot wkrótce będziemy słyszeli, że tym prochem i tą maścią będą kule napełniali, aby się lepiej rozrywały i więcej ludzi biły. — Bo to wiecie, ludzie bardzo się przykazań boskich trzymają, i z samej miłości bliźniej obopólnie się ubijają. Ale Bóg czuwa nad światem; dopuszcza ciężkie kary za wielkie przewinienia na całe kraje i narody, lecz zaginąć im nie daje.

Mańko ze Stryja.

Kożuszek.

Przed niedawnemi laty żył biedny człowiek, kaleka na ręce i nogi. Latem chodził on tylko w długiej koszuli białej, a zimą ubierał na nią kożuszek barani; na głowie nosił czapeczkę z dwoma piórami pawiemi, a chciał tylko w mieście, nie na wsi swoje biedne życie prowadzić. Z ubioru ludzie go zwali Kożuszkiem baranim, a śpiewki jego wszyscy znali. Spiewał on tak:

Kożuszek barani, czapeczka z piórami,
I dwie koszuleczek, to mój mająteczek,
To mój mająteczek.
Mało mienia mego, lecz ja kontent z niego,
Przez życie do nieba, oj nie wiele trzeba,
Oj nie wiele trzeba.
Biednym ja kaleka, ale nie narzekam,
Jeno chwałę Bożą, jak mogę przymnażam.
Jak mogę przymnażam.
Kiedy mnie głód najdzie, wnet się groszyk znajdzie,
Czyliż więcej trzeba, przez życie do nieba,
Przez życie do nieba.
Inni skarby mają, przecie narzekają,
A czyż wiele trzeba, przez życie do nieba.
Przez życie do nieba.

Zatrzymywali się ludzie przechodzący przez ulicę, słysząc tego spiewaka, a jaki taki, widząc że on kaleka, podawał mu jałmużnę, ale biedny nie chciał nigdy wziąść więcej jak grosz jeden. Dosyć mnie grosza jednego tymczasem, mawiał, jak tego zabraknie proszę o drugi, schowajcież panowie i panie wasze grosze dla biedniejszych, i wnet odchodził spiewając:

„Kożuszek barani, czapeczka z piórami itd.

Choć nawiedzony ciężkiem kalectwem żył on jakoby ku przykładowi dla niejednego, co wiele mając szemrze i narzeka i zawsze mu czegoś brakuje. Kożuszek poczciwy jak wyspiewywał, tak też prawdziwie przez życie dążył jeno do nieba, więc tu nie pragnął mieć tylko tyle, ile mu koniecznie było potrzeba. Każdy też go szanował dla jego uczciwości, sypały się grosze do kożuszka; ale on trzy, cztery razy na dzień, zatrzymawszy po jednym tylko groszu dla siebie, rozdawał resztę wciśniętych mu nieraz gwałtem groszy, innym ubogim kalekom, starcom, chorym i sierotom; sam nigdy grosza nie miewał, jak to mówią przy duszy.

Jednego razu jakaś pani bardzo bogata, a bardzo skąpa zgubiła sakiewkę pełną dukatów. Podano to do wiadomości do pism różnych i obiecano wielką nagrodę temu, coby ową zgubioną sakiewkę znalazł, i oddał. Ale sakiewki jak nie było tak nie było. Już myślała pani owa, że jej nigdy nie odbierze, narzekała więc, i płakała. Aż oto, kiedy dnia jednego miała wyjeżdzać z domu, patrzy: a tu kożuszek barani stoi przy powozie, brząka dukatami w sakiewce, i wyspiewuje:

„Kożuszek barani, czapeczka z piórami....

Gdy zaś ujrzał, że pani owa poznała swoją sakiewkę, rzuca jej do powozu sakiewkę z dukatami i dalej znowu śpiewa swoją piosneczkę:

I dwie koszuleczek, to mój mająteczek
To mój mająteczek.

Bogata pani a skąpa, przeliczyła dukaty złote, a gdy się przekonała, że uczciwy kożuszek nie wziął ani jednego, zapomniała pierwszy raz w życiu, że jest skąpa. Wyjęła dwa dukaty z worka i podała je kożuszkowi. A kożuszek właśnie wtenczas śpiewa:

Kiedy mnie głód najdzie, wnet się groszek znajdzie
Czyliż więcej trzeba, przez życie do nieba
Przez życie do nieba.

Ukończywszy ten wierszyk, tak się kożuszek odezwał do pani podającej mu dukaty: „Nie potrzebuję ja tyle pieniędzy, bo mam kożuszek barani i dwie koszule; jeżeli macie wiele, dajcie na chorych, dajcie na biedne sieroty — dla mnie dosyć groszyka jednego.“ — Zadziwiona coraz bardziej skąpa pani, nalega na kożuszka, żeby koniecznie wziął choć jeden dukat, ale kożuszek jak nie chciał przyjąć, tak nie chciał. Szuka tedy pani owa w worku, który miała przy sobie, groszyka, a kożuszek tymczasem spiewa dalej:

Inni skarby mają, przecież narzekają
A czyż wiele trzeba przez życie do nieba.

Słucha pani, słucha, daje groszyk kożuszkowi, a nauczona jego przykładem i jego piosneczką, wyrzeka się skąpstwa obrzydłego. Poszedłszy za radą kożuszka, zaczyna mieć od dnia tego pieczę o sierotach, o chorych, o nieszczęśliwych i na tych obraca wszystkie swoje skarby, pamiętna zawsze na słowa piosenki kożuszka: „Czyli wiele trzeba, przez życie do nieba.

Innych żebraków, którzy za użebrany grosz rozpustowali, mocno nieraz strofował kożuszek. Także i tym nie przebaczał, którzy z umysłu kalectwo udawali, aby tylko grosz wyłudzić, a nie pracować. Niejeden żebrak taki usłuchał słów prawdy, i zamiast ludzi cyganić, wziął się do pracy. Żył poczciwy kożuszek ośmdziesiąt lat, i umarł od wszystkich żałowany, i szanowany. W starości nie śpiewał on już tak często swojej piosenki, ale ją też już wszyscy znali, którzy znali kożuszka, i bez piosenki więc miał zawsze dosyć groszy dla siebie — a dla biedniejszych, został mu jeszcze niejeden.

Maciej Szarek,
włościanin z Brzegów.

Złote ziarna.

Nie ten mądry, co bogactw dorobił się mnóstwo
Lecz ten, co je straciwszy, nieczuje ubóstwa.

Redaktor odpowiedzialny Kazimierz Okaz. — Wydawca Stanisław Justian.
Z drukarni E. Winiarza we Lwowie.